

GORĄCY WŁOCH, KTÓREGO POZNAŁA W NOWYM JORKU,
OKAZAŁ SIĘ JEJ PRZYBRANYM BRATEM.

GRA MATTEO

SLOW BURN #3

J.T. GEISSINGER



Copyright ©

J. T. Geissinger

Tytuł oryginału:

Ache for You

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2021

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

All rights reserved

Redakcja:

Katarzyna Mirończuk

Korekta:

Aleksandra Szczerba

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN:

J. T. GEISSINGER

GRA MATTEO

SLOW BURN #3

**TŁUMACZENIE
MALWINA STOPYRA**

OŚWIĘCIM 2021

JEDEN

Kimber

Niezależnie jak pulchna, zwyczajna czy biedna jest kobieta, odpowiednia suknia ślubna sprawi, że poczuje się piękniejsza niż jakakolwiek księżniczka z bajki.

Właśnie w tej chwili myślę sobie, że Kopciuszek może pocałować mnie w mój śliczny tyłek. Z łomoczącym sercem wychodzę zza drzwi przymierzalni w ekstrawaganckiej chmurze jedwabiu i koronek, stworzenie której zajęło mi trzy miesiące, i czekam na reakcję Jennera.

Jest nawet lepsza, niż się spodziewałam.

– Na włochate jajka Winstona Churchilla!

Zrywa się na równe nogi z brzydkiej, perkalowej sofki, na której wylegiwał się, kiedy ja przygotowywałam się do ceremonii. Nieskazitelnie elegancki, w idealnie skrojonym smokingu od Armaniego, powoli lustruje mnie od stóp do głowy.

– Jesteś aniołem! Zjawiskiem! Jesteś pieprzoną boginią!

Rumienię się. Z komplementami czuję się mniej więcej tak komfortowo jak z lewatywą.

– Dziękuję.

Ściąga wargi, marszczy brwi i krzyżuje ramiona na piersi.

– Czy byłoby czymś złym, gdybym miał teraz erekcję? W dolnych obszarach robi się nieco ciasno.

– Zawsze kręciły cię francuskie koronki. – Śmieję się zadowolona.

Macha dłonią z gracją godną królowej.

– Okręć się, kochana. Musimy zobaczyć tę sukienkę w akcji.

Unoszę lekko spódnicę i kręcę się wkoło, niczym baletnica. Welon sływa mi po ramionach jak najznakomitsza aureola, utkana z chmur. Kiedy zatrzymuję się i znowu patrzę na Jennera, on udaje, że ma łzy w oczach i zakrywa usta pięścią.

– Moja mała dziewczynka jest już taka dorosła.

Wzdycham i patrzę w sufit.

– O Boże! Jesteś ode mnie starszy o *miesiąc*.

– To miała być metafora! – Rozkłada ramiona, podchodzi swoim eleganckim krokiem i przytula mnie, uważając, żeby nie pognieść sukienki, ani nie rozmazać mi makijażu, kiedy całuje mnie w policzki. – Teraz to przyznaję, nie zawsze wierzyłem w to, że Brad ożeni się z tobą...

– Przecież dosłownie powiedziałeś mi, cytując: *Ten pajac nigdy się z tobą nie ożeni*.

Jęczy.

– Mary Poppins, masz pamięć jak słoń! Jak już mówiłem, nie zawsze wierzyłem, ale cieszę się, że nie miałem racji. Ze względu na ciebie.

Odsuwa się i delikatnie chwyta mnie za ramiona. Nie umie się powstrzymać, kiedy coś jest nie na miejscu, więc bierze w palce kosmyk, który uciekł z mojego koka i zakłada mi go za ucho.

Kiedy głos mu twardnieje, uwydatnia się jego brytyjski akcent:

– Ale jeśli zrobi cokolwiek, czym cię unieszczęśliwi, jeśli choćby skrzywisz się przez niego, wykastрую pajaca zardzewiałym nożem do masła.

Patrzę na poważną twarz Jennera i uśmiecham się.

– Też cię kocham – mówię łagodnie.

– Jesteś odrażająco sentymentalna – mówi lekceważąco, ale widzę, jak jego dolna warga drży. – I przypomnę ci to, kiedy będziesz szlochać w rękaw przy mojej przysiedze, koleżanko.

Przez chwilę milczy, zastanawia się nad czymś i zaczyna bawić się brzegiem mojego welonu.

– Jakieś wątpliwości w ostatniej chwili? – pytam.

– Nie. – Kręci głową.

Czekam na tę chwilę od trzech lat. Odkąd tylko ujrzałam pierwszy raz Bradleya Hamiltona Wingate’a III, zakochałam się w nim szaleńczo. To najszczęśliwszy dzień mojego życia. Jedy-
nym, kto mógłby go jeszcze uświetnić, byłby mój ojciec prowa-
dzący mnie do ołtarza, ale jego klaustrofobia uniemożliwiła lot
przez ocean, więc mój przystojny, elegancki Jenner zrobi to rów-
nie dobrze.

Nadal bawiąc się moim welonem, mówi:

– Mój jaguar stoi tuż przed wejściem. Za niecałe dwie godzi-
ny będziemy wylegiwać się w Meadwoods, korzystać z masaży
i podrywać ratowników przy basenie.

– Wiem, że nie przepadasz za Bradem, ale jeśli zrujnujesz mi
ślub, gadając bzdury o moim mężu, spalę twoją kolekcję klasycz-
nych szalików od Gucciego. – Obrzucam go gniewnym spojrze-
niem.

Zaciska wargi, jakby chciał je zamknąć na zawsze.

– Już się tak nie rzucaj, Ślubodzilla. Moje usta nie wypowiedzą
już ani jednego słowa. – Udaje, że przekręca kluczyk w zamku
i wyrzuca go, ale przerywa milczenie: – Żebyśmy mieli jasność,
chcę, żebyś wiedziała, że mogłabyś mieć coś o wiele lepszego...

– Jenner!

Spogląda na moje zaciśnięte szczęki i wytrzeszczone oczy.

– Masz rację – mówi łagodnie. – Mój błąd. Chcę tylko tego, co
dla ciebie najlepsze.

Przemilcza wszystkie te razy, kiedy wyplakiwałam się w jego
ramię po kłótni z Bradem o jego emocjonalną niedostępność,
wszystkie telefony, kiedy narzekałam, jak nie potrafi się zaangażować i dać mi pierścionka, każde analizowanie przy drinkach
tego, czego może mi brakować.

Ale teraz już koniec z tym. Przeszliśmy przez wszystko, przez
co musieliśmy przejść, żeby dotrzeć do naszego szczęśliwego za-
kończenia tam, gdzie od początku było nasze miejsce.

Po ślubie wszystko będzie inne.

Właśnie mam powiedzieć to Jennerowi, kiedy organizatorka ślubu wpada do pokoju, wymachując rękami i ledwo łapiąc oddech. Jej ciemne włosy kręcą się przez sierpniową wilgoć.

– Już czas! Już czas! Wszyscy gotowi? – Dostrzega nas, zatrzymuje się i przykłada rękę do gardła. – Jasny gwint, wyglądasz olśniewająco.

– Dzięki, Mirando – mówię.

Zdaje sobie sprawę, że mówiła o Jennerze, kiedy mruga i dodaje:

– Och, yy... ty też!

Jenner śmieje się, gdy widzi moją kwaśną minę.

– Nie martw się, kochana, będę się garbić i krzywić, idąc z tobą do ołtarza, żebyś wyglądała jeszcze bardziej spektakularnie.

– Tak, tylko że garbienie się i wykrzywianie sprawia, że wyglądasz jeszcze lepiej, a nie gorzej. Nie mogę uwierzyć, że byłam na tyle głupia, żeby poprosić na drużbę modela. Przeklinam dzień, w którym cię poznałam – odpowiadam oschle.

– Miałaś *szczęście*, że mnie poznałaś. Gdybym nie udawał twojego chłopaka, żeby uratować cię przed tym neandertalczykiem, śliniącym się do ciebie w dziale z butami Neimana dziesięć lat temu, mogłabyś nadal tam być, próbując uprzejmie uniknąć jego włochatych łap.

– Cicho bądź i podaj mi te cholerne kwiaty.

Jenner wyjmuje bukiet z wazonu stojącego na stoliku pod oknem, ściąga wargi i przygląda się wiązance.

– Kalie? Dobry Boże! To kwiaty pogrzebowe.

– Jeśli powiesz cokolwiek choć odlegle przypominającego *jakie to odpowiednie*, wypatroszę cię jak rybę – ostrzegam.

Obdarza mnie pogardliwym spojrzeniem, co stanowi brytyjską wersję okazywania uczuć.

– Ach, jeszcze więcej gróźb o przemocy fizycznej. I to w dzień ślubu. Prawdziwy z ciebie Don Corleone. To pewnie twoja włoska krew daje o sobie znać.

– A żebyś wiedział. A teraz chodź, pokażemy tej nawie, na co nas stać. – Odwracam się do przebieralni i krzyczę: – Dziewczyny!

Pojawia się siostra Brada, Ginny – podobizna Grace Kelly – i Danielle, moja przyjaciółka od czasów szkoły średniej, która przyleciała na ślub z Ohio. Obie wyglądają ślicznie w szytych na miarę sukienkach w kolorze szampana, chociaż cycki Danielle usilnie próbują uwolnić się z gorsetu.

– Mogłaś zainstalować dla nich rusztowanie – mówi Jenner, przyglądając się z niepokojem klatce piersiowej Danielle.

Ona potrząsa swoim podwójnym „D” i posyła mu całusa.

– Próbowałam, ale dziewczynki muszą być wolne. Kazałam wyjąć całe usztywnienie.

Jenner wydaje się poruszony.

– To ma być ślub czy kabaret?

– To nie jakiś tam ślub, to *ten* ślub – mówi Ginny, nakładając warstwę błyszczyka na usta. Zakręca tubkę i odkłada ją na stół, po czym z uśmiechem odwraca się do Jennera. – Każdy, kto jest kimś w San Francisco, znajduje się tutaj.

Drzę.

– Prasa. Boże, nie przypominaj mi.

– Wiem, że ci kretyni z brukowców chodzili za tobą krok w krok, ale ludzie, których tatuś wynajął na ślub, są całkowicie uczciwi. To będzie miało świetny wpływ na twoją firmę, Kimber. – Ginny wygładza swoją suknię w talii. – Te sukienki są cudne, a ty wyglądasz jak księżniczka. Kiedy pojawią się zdjęcia, twój nieznany, mały sklepik stanie się sławny.

– Odpukać.

– Wszyscy, proszę, ruszamy się! – krzyczy spanikowana Miranda.

Przyjmuję bukiet od Jennera i biorę głęboki wdech, żeby uspokoić skołatane nerwy. Nie pomaga za bardzo, ale czegoś muszę spróbować. Mój antyperspirant już zawodzi, żołądek mam zwi-

nięty w supeł, a dłonie drżą mi tak bardzo, że kalie wyglądają, jakby miały padaczkę.

Danielle i Ginny biorą swoje bukiety i ruszają przed nami, a potem, ramię w ramię, Jenner i ja wychodzimy z pokoju.

– Przedstawienie czas zacząć, kochana – mamrocze Jenner, kiedy otaczają nas fotografowie, a flesze zaczynają szaleć. – Broda do góry. Plecy proste. Cycki do przodu.

Unoszę podbródek, prostuję ramiona i z całych sił staram się nie łapać powietrza jak karp. Kiedy wychodzimy za róg i wchodzimy do przedsionka kościoła przez ciężkie, drewniane drzwi, klasyczna melodia *Kanonu D-dur* Pachelbela wypełnia moje uszy. Miranda nerwowo rusza do przodu. Jenner ściska moją drżącą dłoń. Jeszcze kilka kroków i znajdziemy się w nawie.

Jest tak pięknie, że przez chwilę czuję się oszołomiona. Kwiaty. Świece. Ogromny tłum dobrze ubranych gości, stojących przy wejściu.

I Brad. Czeka na mnie przy ołtarzu, jest wysoki i ma szerokie ramiona. Nosi smoking z taką nonszalancją, jakby się w nim urodził.

Kiedy nasze spojrzenia spotykają się, moje serce rośnie. On jest ucieleśnieniem amerykańskiego ideału. Kwadratowa szczęka, złocista opalenizna i falowane blond włosy, lśniące w świetle. Istota dumy i niedorzecznie dobrego wyglądu.

Mój książę z bajki. Jest piękniejszy niż wszystko inne razem wzięte i bardziej idealny niż moje najśmielsze sny.

Poza tym wyrazem bezbrzeżnego przerażenia, który ma na twarzy, co naprawdę kontrastuje z jego strojem.

Kiedy się potykam, Jenner znowu ściska moją dłoń.

– Spokojnie, kochana.

Rozpoczynamy wędrowkę nawą w powolnym tempie, które zostało nam wpojone przez Mirandę podczas niekończących się prób. Krok – przerwa. Kolejny krok – przerwa. To zwiększa dramaturgię, jak stwierdziła. Zdecydowanie miała rację, bo

z każdym krokiem, z którym zbliżam się do Brada, jego twarz traci coraz więcej kolorów do tego stopnia, że z łatwością mógłby udawać zwłoki.

Czuję pod mostkiem, jak moje serce wiarygodnie naśladuje zdychającą rybę, szamocze się dziko i łapie powietrze.

– Twój rozpieszczony chłoptaş wygląda jeszcze bardziej irytująco niż zwykle – zauważa Jenner z wystudiowanym uśmiechem.

Sama uśmiecham się tak szeroko, że mam wrażenie, że twarz zaraz pęknie mi na pół. Dwaj fotografowie czają się na końcu alejki i robią zdjęcia, więc staram się nie poruszać ustami, kiedy odpowiadam:

– Wygląda, jakby stał przed plutonem egzekucyjnym. Czy to normalne?

– Może na Szatana upuszczono kroplę święconej wody i teraz ze wszystkich sił stara się nie stanąć w płomieniach przed wyborcami tatusia.

Zabiję Jennera później. W tej chwili potrzebuję całej koncentracji, żeby utrzymać uśmiech.

Kiedy docieramy do ołtarza, wyraźnie widzę strużki potu, płynące po skroniach Brada, a w oczach czai się mu panika jak u dzikiego zwierzęcia schwytanego w potrzask. Jest trupio biały. Obok niego Trent, drużba, szczerzy się jak kretyń i gapi na piersi Danielle.

– Kto oddaje tę kobietę temu mężczyźnie? – Pastor pyta tak głośno, że aż się wzdrygam.

– Ona sama siebie oddaje – odpowiada Jenner gładko, nie robiąc sobie nic z wyreżyserowanej przez Mirandę odpowiedzi: *Ja*. Potem oddaje moją dłoń Bradowi, który wyraźnie walczy, by zachować świadomość.

Występuję do przodu z drżącym uśmiechem i szepczę:

– Skarbie? Wszystko w porządku?

Mrugając jak pisklę, Brad przełyka. Wydaje z siebie skrzek, który ani trochę nie przypomina „tak”. Widywałam ofiary wypadków samochodowych w lepszym stanie.

Rzucam zdesperowane spojrzenie jego rodzicom siedzącym w pierwszym rzędzie. Senator i pani Wingate są ubrani odświętnie jak wszyscy inni, ale – w przeciwieństwie do pozostałych – wyglądają na równie zdenerwowanych jak ich syn.

Coś jest koszmarnie nie w porządku.

Strach oplata i ściska moje serce.

Pastor mówi coś, czego nie słyszę przez łomotanie pulsu. Wszystko to tylko *słowa, słowa, słowa*, bezsensowne dźwięki, podkreślające dławiące poczucie zguby, kiedy patrzę na mojego wybranka, którego wyraźnie tylko oddech dzieli od zwyrodnienia lub zemdlenia.

Albo jednego i drugiego.

Pastor kończy, cokolwiek mówił, i zwraca się do Brada:

– Bradleyu Hamiltonie Wingate, czy bierzesz sobie tę kobietę za żonę? Czy ślubujesz jej miłość, wierność i uczciwość małżeńską, w bogactwie i biedzie, w zdrowiu i chorobie, aż do śmierci?

Następuje głucha cisza, podczas której Brad wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami. Żyła na jego szyi pulsuje gwałtownie. Jest tak cicho, że klikanie fleszy aparatów brzmi jak wystrzały.

Kiedy cisza ciągnie się zbyt długo, pastor odchrząka.

– Synu? – ponagla go.

Brad porusza ustami, ale nie wydobywa się z nich żadne słowo.

W powietrzu czuć napięcie. Wśród gości zaczynają nieść się szmery i szepty. Czuję, jak stróżka zimnego potu spływa mi między łopatkami. Przez ramię rzucam zdesperowane spojrzenie Jennerowi, który wpatruje się w Brada twardym, niebezpiecznym wzrokiem.

Senator Wingate, korpulentny i zaczerwieniony w swoim smokingu, pochyla się do przodu i syczy:

– Bradley!

Wydaje się, że to jedno słowo przełamało zaklęcie, pod wpływem którego znajdował się Brad, bo wreszcie udaje mu się wykrztusić:

– Ja... ja...

Gorączkowo kiwam głową, która podskakuje jak u lalki. Desperacja sprawia, że mój głos przybiera histeryczny ton.

– Tak, skarbie?

Bierze głęboki wdech, po czym wypuszcza powietrze z westchnieniem, jakby puściła tama, i zaczyna paplać nieskładnie:

– Nie mogę tego zrobić, po prostu nie mogę, przepraszam, to się nie stanie. Tato... – Odwraca się do ojca, który już podnosi się z ławki. – Nie mogę, nie dam rady ożenić się z nią!

Z rykiem, przypominającym wściekłego byka, jego ojciec rusza do przodu. Rzuca się na Brada. Upadają w płątanie rąk i nóg, uderzając w marmurową podłogę kościoła. Słychać łoskot, kiedy przewracają mosiężne świeczniki, co wywołuje okrzyki zdumienia wśród tłumu.

Trzystu ludzi skacze na równe nogi.

Matka Brada wydaje z siebie zbolały skowyt.

Kamery wirują szaleńczo.

Ktoś prycha i mówi:

– I to by było na tyle, jeśli chodzi o dziedzictwo Brada.

I wtedy przesywający, zbolały wrzask, który wydaje się dobiegać zewsząd, rozlega się echem od ścian. Rozpada się na tysiąc mniejszych krzyków, odbijając się raz za razem od twardych, marmurowych powierzchni, i unosi się wysoko pod sklepienie niczym stado skrzeczących ptaków, które poderwały się do lotu.

To okropny dźwięk. Nigdy w życiu nie słyszałam czegoś tak potwornego.

Dopiero kiedy Jenner chwytą mnie i ściąga ze schodków ołtarza, zdaję sobie sprawę, że ten straszny głos wydobywa się ze mnie.

DWA

Kimber

Zdjęcia są katastrofalne.

– Cóż, spójrz na to z dobrej strony – mówi Jenner z mojej kanapy, gdzie wyleguje się na stercie poduszek i zajada niskotłuszczowe chipsy. – Ten szatański nos nigdy już nie będzie prosty.

Czerpię niewielką satysfakcję z tego, że kiedy już wyswobodziłam się z uścisku Jennera, rozbiłam Bradowi nos. Krew tryśnęła z twarzy tej skrzącecej łajzy jak fontanna. Nawet jego ojciec wydawał się być pod wrażeniem mojej celności.

– Tak – mówię gorzko. – Jego nos, moje serce. Taka sama miazga.

Przez trzy dni, które minęły od niedoszłego wesela, płakałam bezustannie, objadałam się lodami, potłukłam całą weselną zastawę i prawie ochrypłam, wrzeszcząc na ściany. Z rzeczy, których nie zrobiłam: nie wychodziłam z mieszkania i nie odbierałam telefonów. Będę musiała też odciąć się od internetu, bo zdjęcia mojego publicznego upokorzenia tam również wyciekły.

Jednak największą furorę robi to, na którym rozbijam Bradowi nos. Wydrukowałam je sobie i powiesiłam na lodówce.

Opadam na brzuch i układam sobie poduszkę pod głową. Leżę na podłodze, na samym środku mojego salonu, gdzie spędziłam większość czasu przez ostatnie trzy dni. Nie mogę przebywać w pobliżu sypialni, bo łóżko, które dzieliliśmy z Bradem, jakby szydzi ze mnie za każdym razem, kiedy przechodzę obok.

Wkrótce i tak już go nie będzie. Samej nie stać mnie na to miejsce. Kiedy nastanie pierwszy dzień kolejnego miesiąca, nie przeprowadzę się do uroczego domku w wiktoriańskim stylu w Ashbury He-

ights, który kupił dla nas Brad. Przenieś się na zaplecze swojego sklepu, aż znajdę jakieś studio. Coś taniego, poza miastem. Najchętniej pod ziemią, żeby nie musiała widywać ludzi.

Jeden z nagłówków w gazetach krzyczał: *Porzucona Krawcowa!*

Zostałam zredukowana do roli tandetnej, telewizyjnej rozrywki dla mas.

– Danielle napisała, że bezpiecznie dotarła do domu. Chciała wiedzieć, jak się trzymasz.

– I co jej powiedziałaś?

– Skłamałem, że wszystko w porządku. Wiedziałem, że gdybym tego nie zrobił, ona i jej cycki od razu znalazłyby się z powrotem w samolocie. – Wydaje z siebie odgłos, jakby miał odruch wymiotny. – Nie pojmuję, jak ktoś mógł przeprowadzić się do Cleveland po tym, jak wychował się w San Francisco. Ohio kontra Floryda Środkowego Zachodu.

– Okropny z ciebie snob.

– *Merci*¹. Kiedy zadzwonisz do ojca?

Jęczę i chowam twarz w poduszce. Kiedy pomyślę o wszystkich pieniądzach, które ojciec przysłał mi na ślub, mam ochotę umrzeć. Sam koszt materiału na suknię to grube tysiące.

Mój głos jest stłumiony przez poduszkę, kiedy mówię:

– Myśli, że jestem na miesiącu miodowym. Mam jeszcze jedenaście dni, zanim będę musiała do niego zadzwonić.

– Chyba, że zobaczy zdjęcia w internecie – podpowiada Jenner.

Rozważam to, ale stwierdzam, że szansa na to, że mój niezaznajomiony z technologią ojciec znajdzie się na tyle blisko komputera, by zobaczyć dowody na to, że jego jedyne dziecko stało się pośmiewiskiem śmietanki towarzyskiej San Francisco, jest bliskie zeru. Kiedyś wysłałam mu Kindle'a na święta, a on chciał wiedzieć, jak się go otwiera. Myślał, że to wyjątkowo cienka książka.

¹ *Merci* – (z fr.) dziękuję (przyj. red.).

– Przypomnij mi, dlaczego nie pojechaliśmy na miesiąc miodowy, jak dziewczyny z *Seksu w wielkim mieście*, po tym, jak Carrie została porzucona przed ołtarzem?

– Bo dwa tygodnie na ranczo w Montanie były idyllą w mniemaniu Brada, nie moim. A ty dobrze wiesz, że Carrie nie została porzucona przed ołtarzem. Big zerwał z nią przez telefon jeszcze przed tym, jak była zmuszona pokonać drogę do ołtarza – sprostałam.

Szczęściara.

Jenner wzdycha tęsknie.

– Wręcz przeciwnie. Dwa tygodnie na ranczo brzmią absolutnie jak raj, kochana. Pomyśl tylko... wszyscy ci kowboje... I ich lassa. Kurczę – mówi rozmarzonym głosem.

Kiedy podnoszę na niego wzrok, widzę, jak wachluje twarz pustą paczką po chipsach.

– Nie. Żadnych kowbojów. Żadnych chłopaków w ogóle. Nie obchodzi mnie, jeśli do końca życia nie zobaczę żadnego faceta!

Jenner przestaje się wachlować i wykrzywia brew.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że jestem dumnym posiadaczem penisa, tak? – pyta.

– Ty się nie liczysz.

– Auć! – syczy.

– Wiesz, co mam na myśli! – Opadam na poduszkę, ale podnoszę się, kiedy słyszę pukanie do drzwi.

Jenner i ja patrzymy na siebie. Serce zaczyna mi łomotać. Pukanie rozlega się ponownie, tym razem głośniej.

W połowie przerażona i w połowie wściekła, szepczę:

– Myślisz, że to Brad?

Jenner odpowiada:

– Raczej wątpię, kochana, przecież ma klucz. Zresztą pewnie i tak jeszcze zbiera fragmenty zębów.

Kiedy pukanie nie ustaje, Jenner siada i patrzy w stronę drzwi.

– Chcesz, żebym otworzył? – pyta.

– Dlaczego ten ktoś puka, a nie użyje dzwonka? – Z jakiegoś powodu wydaje mi się to złym znakiem. Jaki człowiek woli uderzać pięścią w drzwi, niż do nich zadzwonić?

– Pójdę zobaczyć przez wizjer, kto to.

Zanim zdążę zaprotestować, Jenner już znika z pokoju. Po chwili słyszę jego głos dobiegający z korytarza:

– To kurier. Otworzyć?

Kurier? Bardziej prawdopodobne, że to kolejny paparazzo, próbujący zdobyć nowe zdjęcie biednej, niedoszłej synowej senatora, przebiega mi przez myśl.

Ciekawość zwycięża. Drepczę na bosą do drzwi, w poplamionych od lodów dresach i odpycham Jennera, żeby zerknąć przez wizjer.

Rzeczywiście, to kurier. Trzyma w dłoni małą kopertę i podkładkę.

– Myślisz, że to pułapka? Może to w rzeczywistości facet z TMZ², a w podkładce ma ukryty aparat? – szepczę.

– Och, tak – mówi Jenner, a jego głos ocieka sarkazmem. – Ten niesławny aparat w podkładce. Słyszałem, że ostatnio zbierają niezłe żniwo.

– A co z facetem z wczoraj, który zapukał do drzwi i powiedział, że jest z elektrowni, a okazał się dziennikarzem z *The Examiner*, chcącym dowiedzieć się, czy plotki o moim samobójstwie są prawdą?

– Coś w tym jest. – Jenner ściąga wargi.

– Wiem! – Przewracam oczami.

– Jeśli ten facet chce zrobić ci zdjęcie, które sprzeda potem brukowcom, urwę mu jaja. Zadowolona? – Odsuwa mnie z drogi i z westchnieniem otwiera drzwi. – Dzień dobry. W czym mogę pomóc?

– Mam przesyłkę dla pani DiSanto. – Kurier mierzy Jennera spojrzaniem z góry do dołu. – To pani?

² TMZ – amerykańska gazeta internetowa typu tabloid (przyp. red.).

To pewnie byłoby niedorzeczne pytanie, ale zważywszy na fakt, że Jenner ma na sobie mój puchaty, fioletowy szlafrok i długą, czerwoną perukę, którą kupiłam kilka lat temu na Halloween, a on wygrzebał ją teraz z mojej szafy, pytanie kuriera jest bardzo uzasadnione.

Jenner jest ładniejszy niż większość kobiet, które znam. A co tam – niż *wszystkie* kobiety, które znam.

– Chociaż bardzo miło jest mi to słyszeć – mówi Jenner – z przykrością muszę stwierdzić, że w rzeczywistości nie jestem panią DiSanto. Oto rzeczona dama. – Wskazuje na mnie. – Chociaż terminu *dama* używam bardzo luźno.

Kurier wpycha mi do ręki kopertę. Kiedy ją biorę, podsuwa mi pod twarz podkładkę i mówi:

– Podpis przy dwunastce.

Podpisuję, kurier odchodzi, a Jenner zamyka drzwi. Wtedy rozrywam cienką, tekturową kopertę i zaglądam do środka. Wewnątrz znajduje się kolejna koperta, tym razem beżowa i kwadratowa. Na niej widnieje moje imię i nazwisko, wypisane czarnym tuszem. Pismo jest pochyłe i pokręcone.

Jenner zagląda mi przez ramię i mówi:

– Ooo, ładne. Myślisz, że to zaproszenie na bal?

– Ha. – Rozrywam kopertę, wydjmuję kartkę grubego papieru i czytam na głos:

Nie mogłem się z tobą skontaktować. Przyjeżdżaj natychmiast. Twój ojciec jest śmiertelnie chory.

Kartka upada na podłogę, kiedy rzucam się przez korytarz w stronę telefonu.

Nawet w dobre dni San Francisco International Airport jest koszmarem. Jednak w dzień, kiedy desperacko pragniesz dostać się do Włoch, zanim twój ojciec umrze, to prawdziwe piekło.

Gdy wreszcie trafiam na swoje miejsce w klasie ekonomicznej, siedzę między stutrzydziestokilogramową kobietą z wrzeszczącym dzieckiem na kolanach, a zakatarzonym studentem z tatuażem na wierzchu lewej dłoni, głoszącym: *Jebać policję*.

Brałam udział w niewielkiej stłuczce, przez którą prawie spóźniłam się na lot, zostałam popchnięta przez zirytowanych podróżnych i uderzona bagażami tak wiele razy, że przestałam już liczyć, a także przetrwałam wyczerpującą kontrolę nieprzyjemnego pracownika Agencji Bezpieczeństwa Transportu, który wydawał się przekonany, że ukrywam kontrabandę w pewnym otworze ciała.

Najwcześniejszy lot, jaki udało mi się zabukować, miał przebiegać w Nowym Jorku. Kiedy docieramy do lotniska JFK, wytaczam się z samolotu z zaczerwienionymi oczami, w poszukiwaniu kawy i silnego odkażacza rąk. Nie wiem, jakiego wirusa złapał ten student, ale produkował przez niego mnóstwo flegmy.

Właśnie mam stanąć na końcu kolejki do Starbucksa, kiedy dostrzegam dyskretną, srebrną tabliczkę na ścianie obok windy, po drugiej stronie korytarza. Napis głosi: *Salon Centurion*.

Słodki Jezuu, to salon wypoczynkowy członków American Express.

Pędzę do windy tak szybko, że prawie tratuję przy tym czteroosobową rodzinę. Ignorując niezadowolone burczenie ojca, dźgam palcem guzik przywoływania windy. Aż ślinka mi cieknie na myśl o oazie luksusu i spokoju, z której zaraz skorzystam.

Dzięki ci, Szatanie, rzucam w myślach do Brada.

Moja lśniaca, nowa, platynowa karta kredytowa na nazwisko Hamilton Wingate, przyszła pocztą zaledwie tydzień temu.

Kobieta w recepcji uśmiecha się uprzejmie, przesuwając kartę przez czytnik, żeby potwierdzić moje członkostwo i mówi:

– Dziękujemy, że pani do nas dołączyła, pani Wingate. Jedzenie i napoje w salonie są darmowe. Może pani skorzystać z masażu i zabiegów na twarz w prywatnym spa na tyłach. To również jest darmowe.

Mam ochotę ją ucałować.

Życzy mi miłego pobytu, a ja opuszczam część recepcyjną i wchodzę do wielkiego, ładnie urządzonego pomieszczenia. Strefy do siedzenia, stoły i wygodne fotele rozstawione są na całej powierzchni pokrytej dywanem podłogi. Jeden koniec pomieszczenia zdominowany jest przez bar. Obok niego rozciąga się bufet, przy którym kilkoro podróżnych wybiera przekąski. Z ukrytych głośników płynie delikatnie muzyka klasyczna. Jestem w niebie.

Opadam na wielki, wygodny fotel przy przeszklonej ścianie, która wychodzi na pas startowy. Na krzesło obok odkładam bagaż, płaszcz i torebkę. Uśmiechnięta kelnerka podchodzi z tacą pełną drinków.

– Szampana, proszę pani?

– Tak, dziękuję. – Biorę kieliszek z jej dłoni z prawie nabożną wdzięcznością, jakby podawała mi Świętego Graala. Wychylam zawartość jednym haustem, po czym rozkładam się w fotelu, wypuszczając z siebie ogromne, zmęczone westchnienie.

I właśnie wtedy go zauważam.

Jego uroda zapiera dech w piersi do tego stopnia, że zaczynam podejrzewać się o halucynacje. To dosłownie moja pierwsza myśl, kiedy rzucam okiem na bóstwo zmierzające w stronę baru – *mam halucynacje*. Bez wątplenia, bo nie tylko jest ucieleśnieniem męskiego ideału, ale wydaje się poruszać w zwolnionym tempie.

Albo jego uroda odmieniła prawa fizyki, albo w tym szampanie coś było.

Jest wysoki i ma ciemne włosy, ma również tę niewymuszoną, arystokratyczną elegancję, z którą niektórzy mężczyźni po prostu się rodzą. Stwierdzam, że jest Europejczykiem. Nie jestem pewna, co jest piękniejsze – jego twarz czy strój. Stanowi ostry kontrast dla wszystkich podróżnych w salonie, którzy mają na sobie wygodne ubrania. Wygląda, jakby właśnie zszedł z wybiegu.

Szyty na miarę granatowy garnitur jest idealnie dopasowany do jego umięśnionej sylwetki. Kołnierzyk koszuli jest tak biały, że lśni, podkreślając cudowny, oliwkowy odcień skóry. Kaszmirowy płaszcz w kolorze kajmaku wisi na jego szerokich ramionach. Zauważam jedwabną poszetkę, masywny, srebrny zegarek i buty, które wyglądają, jakby były zrobione z tego rodzaju wypolerowanej skóry, do której ma się ochotę przytulić policzek.

Pragnienie rzucenia mu się do stóp i ocierania się o jego mokasyny obezwładnia mnie. Patrzę, jak podchodzi do baru i mówi coś do barmanki.

Kobieta poleruje szklanę, ale kiedy na niego spogląda, zamiera. Oczy wychodzą jej z orbit.

Adonisowi pewnie często się to zdarza.

Musi powtórzyć, zanim ona pozbiera się na tyle, żeby odpowiedzieć. Wtedy nalewa mu drinka, podaje go drżącymi dłońmi i z jeszcze bardziej rozedrganym uśmiechem, a potem zaczyna mrugać, jakby próbowała wezwać kogoś na pomoc.

Zaśmiałabym się, ale jest mi jej szkoda. Ten mężczyzna jest zbyt olśniewający, by określić to słowami, więc co tu mówić o racjonalnym zachowaniu. Bierze łyk bursztynowego płynu, a potem obraca się i omiata spojrzeniem pomieszczenie.

Szybko odwracam wzrok. Chociaż jestem żalosną, porzuconą panną młodą, która stała się pośmiewiskiem internetu, wciąż mam dość godności, żeby nie zostać przyłapaną na ślinieniu się na widok obcego faceta.

Żadna inna kobieta w zasięgu wzroku nie ma takich skrupułów. Nigdy w życiu nie widziałam tylu gapiących się ludzi. Nawet niektórzy mężczyźni patrzą w zachwycie.

Moja fascynacja Adonisem znika tak szybko, jak się pojawiła.

Ten facet sprawia, że Brad wygląda jak Homer Simpson – a Brad jest cudny. Więc jeśli ego i pewność siebie Brada sięgały poziomu stratosfery, to nie mogę sobie wyobrazić, jak pom-

patycznym, zarozumiałym dupkiem musi być Adonis. Najpewniej ma kobietę w każdym mieście na całej planecie.

Postanawiam, że go nienawidzę.

Jego i tych idealnych włosów, szczęki superbohatera i tego głupiego, kaszmirowego płaszcza.

Kto w ogóle jeszcze takie nosi? Kim on niby jest, hrabią? W zasadzie wygląda, jakby mógł być hrabią. Załóż się, że ma jakiś tytuł. Na pewno ma dwanaście kochanek, jest skąpy dla służby i bije psa.

Jak zawsze, kiedy jestem poirytowana, moje usta ściągają się tak, że wyglądają niczym suszona śliwka, co doprowadzało Bra-da do szału. Kiedy ponownie podnoszę wzrok, Adonis patrzy niezwykle badawczo wprost na mnie.

Cholera.

Z całą nonszalancją, na jaką mnie stać, odwracam się do krzesła obok mojego miejsca i wydaję z torby szkicownik i ołówek. Nie podnosząc wzroku powyżej kolan, zaczynam szkicować. To coś, co robię, odkąd byłam małą dziewczynką i zawsze potrafi mnie to uspokoić i przywrócić koncentrację.

W kilka chwil piękna sukienka nabiera kształtów. Przypomina syrenę, sporo odsłania, ale ma szyk. Nisko wycięte plecy, mi-sternie ułożone kryształki i perły ozdabiają ramiączka i gorset, a do tego długi tren z francuskiej koronki.

Przerywam gwałtownie, stwierdzając z przerażeniem, że rysuję własną suknię ślubną.

Słyszę za sobą męski głos:

– *Che bella*³.

Boże, jego głos. Moje majtki stają w płomieniach.

Tak bogaty i miękki jak jego buty, jego głos również ma lekki, włoski akcent, który może brzmieć jednocześnie elegancko i seksownie. Załóż się, że potrafiłby doprowadzić mnie do orgazmu szepcząc mi do ucha treść książki telefonicznej.

Ale przecież go nienawidzę, więc się nie liczy.

³ *Che bella* – (z wł.) jaka piękna (przyj. red.).

– Dziękuję – odpowiadam chłodno. Próbuję emanować niechęcią w stylu „nie przeszkadzaj mi ty idealny, głupi, bijący psa, boski kretynie”. Nie działa.

– Jesteś artystką?

– Nie – odpowiadam krótko.

– Hmm...

Szkicuję dalej, ignorując go i czekam, aż odejdzie. Nie chwyta aluzji. Czuję się jeszcze bardziej niekomfortowo, kiedy tak stoi i obserwuje, jak moja ręka przesuwana się po kartce.

Dlaczego on nic nie mówi? Dlaczego sobie nie pójdzie? Czym, u diabła, jest ta przepyszna woda kolońska, którą pachnie? Jasna cholera, czy ja się ślinię?

Przeklinam samą siebie za głupotę, przełykam i szkicuję jeszcze szybciej.

– Przydałoby się marszczenie z tyłu. – Pochyla się nad moim fotelem i stuka długim, eleganckim palcem w szkicownik. – Tutaj.

Chociaż właśnie miałam dodać marszczenie – które prawdziwa sukienka posiada – jestem tak oburzona jego założeniem, że interesuje mnie jego zdanie, że rysuję zamiast tego dużą, brzydką kokardę.

Śmieje się.

To tak seksowny dźwięk, że wszystkie małe włoski na moim karku stają dęba.

Wpycham szkicownik z powrotem do torby, biorę torebkę i płaszcz, po czym podnoszę się z fotela. Nie oglądając się za siebie, ruszam w stronę baru, usadawiam się na krzeselku i odkładam wszystkie rzeczy na podłogę. Zamawiam espresso u barmanki, która wcześniej straciła mowę przez Adonisa, potem opieram łokieć o blat baru i chowam obolałą głowę w dłoniach.

– Uraziłem cię.

Podrywam głowę. Włoski ogier stoi obok i wpatruje się we mnie oczami, których kolor jest identyczny z odcieniem wody u wybrzeży Bali, gdzie chciałam spędzić miesiąc miodowy

z Bradem – przejrzysta, cudowna akwamaryna. Okala je gęstwina rzęs tak czarnych, że mam ochotę mu przyłożyć.

– Jak? – pyta.

Ściągam brwi i marszczę twarz, patrząc na niego, bo oślepia mnie jego głupia, idealna prezenca. Po chwili, kiedy się nie odzywam, powtarza, tak jakby moja macica właśnie nie eksplodowała:

– Jak cię uraziłem?

Twoja uroda mnie obraża. Twój wpływ na kobiety mnie obraża. Sam fakt, że posiadasz penisa, to już wystarczająca obraza. Ty, mój panie, jesteś mężczyzną – uosobieniem męskości – i właśnie dlatego nienawidzę cię bez reszty.

– Nie mówię po angielsku – oznajmiam i opuszczam głowę z powrotem na dłoń.

– Naprawdę? – Zamyśla się. – Dziwne, wydawało się, że kilka chwil temu świetnie mnie zrozumiałaś. Spróbuję jeszcze raz.

Powtarza pytanie po francusku, potem niemiecku, włosku i hiszpańsku. Kiedy nie odpowiadam, przechodzi na język, którego nie rozpoznaję, ale możliwe, że to holenderski.

Teraz po prostu się popisuje.

Podnoszę głowę i obrzucam go moim najbardziej morderczym spojrzeniem.

– Nie chcę z tobą rozmawiać – syczę.

Nawet nie mruga.

– A, jesteś lesbijką – podsumowuje.

– Nie, Hrabio Egotistico, nie jestem lesbijką! Po prostu nie mam nastroju na rozmowy, dobra?

– Dobrze. – Jego spojrzenie przesuwają się na moje usta, a głos obniża się o oktawę. – A na co *masz* nastrój?

Chcę być wściekła. Chcę być oburzona. Mam ochotę go spoliczkować. Jednak przed chwilą między moimi nogami nastąpił wybuch termonuklearny, więc jedyne, co mogę zrobić, to wpa-

trywać się w niego przez chwilę, kiedy obezwładnia mnie fala gorąca, a sutki zaczynają mrowić.

W końcu, kiedy te pełne, wyrzeźbione wargi unoszą się w zmysłowym uśmiechu – bo ewidentnie dostrzega, jaki ma na mnie wpływ – pojawia się gniew, na który liczyłam.

Wytrzymuję jego spojrzenie i mówię przez zaciśnięte zęby:

– Ty arogancki, nadęty, zarozumiały, zadufany w sobie sexistowski pawiu! Chcesz wiedzieć, na co mam nastrój? – Pochyliłam się do niego. – Na morderstwo.

Jeśli miałam nadzieję, że to małe, psychotyczne przemówienie go zniechęci, to grubo się myliłam. Jego oczy zaczynają płonąć, zmysłowy uśmiech staje się sprośny, a śmiech, który po chwili rozbrzmiewa z jego ust sprawia, że barmanka, która właśnie przyniosła espresso, wydaje z siebie niewielki, pożądlivy jęk.

Patrząc mi intensywnie w oczy, Adonis mówi łagodnie:

– Tak, *bella*⁴. Ja też cię pragnę.

⁴ *Bella* – (z wł.) piękna (przyp. red.).